



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.— Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77

ŁĄBĘDŹ.

Piękny ten ptak, hodowany u nas dla ozdoby sadzawek w ogrodach, żyje dziko na jeziorach północnej i wschodniej Europy i wówczas odlatuje na zimę do cieplejszych krajów. O łabędziu opowiadano dawniej mnóstwo różnych bajek, między innymi, że przez całe życie żadnego głosu nie wydaje, aż dopiero przed samą śmiercią odzywa się przecudnym śpiewem. Tymczasem łabędź, chociaż w rzeczy samej zwykle jest milczący, ma jednak głos, który, ani za życia, ani przed śmiercią, niczem się szczególnie nie odznacza. Gdy zobaczycie łabędzia, przypatrzcie mu się zblizka; a porównując go do innych ptaków naszych domowych, przekonacie się, że najwięcej się

zblizka do gęsi i kaczek. Nie też dziwnego, bo wszystkie te ptaki lubią szczególnie w wodzie przebywać i mają budowę zastosowaną do tego; nogi krótkie, w palcach błona spięte, najdogodniejsze do pływania, piersi pokryte miękkim puchem, który jest prześlaknięty tłuszczem i nie przemaka w wodzie. Niektóre, tak jak łabędzie, gęsi i kaczki odznaczają się dziobem szczególnym, jakby pozębionym u boków, tak, że gdy pochwycą drobną zdobycz, woda wycedza się z dzioba zamkniętego, jakby przez sito. Łabędzie dzikie żywią się drobnymi rybkami i roślinnemi pokarmami; domowe dają chleb, ziarno i w ogóle nie przebie-
rają w pożywieniu. W innych częściach



świata ptaki te nieco odmiennie wyglądają. W Nowej Holandyi żyje łabędź bardzo dziwny, bo ma pióra czarne, podczas gdy nasze taką śnieżną białością się odznaczają,

MAŁY KŁAMCA,

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE,

przez

Helenę K.

(Dokończenie).

SCENA XII.

Ciż sami oprócz Maryni.

P. DRYGAŁSKI. (do siebie): Zdaje mi się, że to wszystko udanie, komedia... ale rozwiązanie zostawmy lepiej Panu Minowskiemu.

OLEŚ. (przeuraca oczy, rusza się niespokojnie, kręci się, i szarpie na sobie odzienie). — Zostawcie mnie!... zostawcie!... samego!... Ach!... ja coś gryźć muszę!... (gryzie poręcz fotelu)... Mięsa!... mięsa!... (rzuca się z krzykiem i biega po pokoju).

DZIECI. — Ach!... ach... on wściekły!... (uciekają przestraszone, P. Drygałski powoli odchodzi za nimi oglądając się).

SCENA XIII.

OLEŚ (sami).

OLEŚ. (po odejściu wszystkich pokładając się w fotelu). — Cha! cha! cha... Otom ich wywiódł w pole!... cobym nie wymyślił, wszystkiemu zaraz uwierzą... Cha! cha! cha!... Pewno zaraz tu przysłą służących,... trzeba i tych nastraszyć... To szczęście, że o tej godzinie wuj zawsze na miasto wychodzi,... bezpiecznie mogę dokazywać... Drygałski coś nie bardzo uwierzył, ale mniejsza tam o niego!... powie: urwis, i na tym koniec. — Otóż to później naśmieję się ze wszystkich!... I mamie opowiem całą historią, rozumię się dodawszy jeszcze to i owo... Ale nie!... Mama takich figłów nie lubi,... zawsze mówi, że źle bawić się kosztem drugich... A czemuż oni wierzą zaraz wszystkiemu... i łapać się dają?... To ich wina... tém gorzej dla nich!... Ale ktoś idzie, (przysłuchując się) zapewne Antoni albo

stara Barbara... toż ich nastraszę!... (zaczyna znówu rzucać się i skakać, wyrwacąc stolki, szarpie na sobie odzienie, wydaje głuche, niezrozumiałe krzyki; drzwi się otwierają powoli i Pan Minowski staje na progu).

SCENA XIV.

PAN MINOWSKI, OLEŚ.

OLEŚ. (na stronie). — Wuj!... oto nie w porę!... cóż robić... grajmy dalej komedią,... potem przeproszę... Mama mi pomoże i nie złego nie będzie... (niby zmęczony i osłabiony, pada na krzesło).

P. MINOWSKI. (stojąc we drzwiach z wielkiem politowaniem patrzy na niego).

OLEŚ. — Czego on mi się tak przypatruje, a nic nie mówi?

P. MINOWSKI. (po chwili, jakby do siebie). — Co za okropny wypadek!.. biedny chłopiec!

OLEŚ. (uradowany na stronie). — Brawo!... i on uwierzył!...

P. MINOWSKI (jak przedtém). — Jak o tem donieść biednej matce?... nieszczęśliwa kobieta!...

OLEŚ. (na stronie). — Co on mówi?

P. MINOWSKI. (jak przedtém). — Tu niepodobna go trzymać... biedny!... w szpitalu nędznie zakończy życie!

OLEŚ. (na stronie). — Nie rozumiem, co to wszystko znaczy,... ale zaczynam się bać czegoś...

P. MINOWSKI. (jak przedtém). — Zdaje się, iż uspokoił się nieco,... pierwszy paroksyzm mija, potrzeba korzystać z czasu, nim drugi nadejdzie... (odwraca się wołając). — Antoni!

ANTONI. (odzywa się za drzwiami). — Co Jaśnie Pan każe?

P. MINOWSKI. — Zobacz, czy nie przyszedł ze szpitala felczer, po którego posłałem.

ANTONI. — Jest w przedpokoju, proszę Pana.

P. MINOWSKI. — Przyprowadź go tu i sam wracaj, będziesz nam potrzebny.

OLEŚ. (na stronie). — Co to będzie?... Aj! doprawdy coś nie dobrze!

SCENA XV.

Ciż sami, ANTONI I FELCZER.

P. MINOWSKI. (do wchodzącego felczera). — Dziękuję panu, żeś prędko przyszedł... Wiel-

kie nieszczęście się tu stało... Oto mój siostrzeniec, którego pies wściekły pokąsał przed godziną i już się na nim pokazały symptomata tej strasznej choroby...

FELCZER. — Prawda, po oczach zaraz to poznać można... U nas w szpitalu zmarł wczoraj na wściekliznę jeden człowiek,... wzrok miał zupełnie taki... a w paroksyzmie rzucał się i darł na sobie odzienie... Musieliśmy go przykuć łańcuchem do ściany.

P. MINOWSKI. — I jego trzeba będzie przenieść do szpitala; w domu tak niebezpiecznie chorego trzymać niemożna... Powiedz mi pan, czy są środki ratunku?...

FELCZER. — Na razie czasem się udaje... To też ja, słysząc już o tym od służącego, którego pan przysłał, wziąłem z sobą wszystko, co potrzeba... Najprzód trza ranę wypalić rozpalonem żelazem. (*Oleś przestraszony trzęsie się na swoim krześle*)... Ale nie wiem, czy ten biedny panicz wytrzyma, bo to ból okropny... potrzeba będzie go związać... (*Zbliża się do Olesia, chce go wziąć za rękę, ten się wyrywa i biegnie do Pana Minowskiego*).

OLEŚ. — Ale wuju, wujaszku!... ja nie wściekły!

FELCZER. — Niech pan nie zważa na to,... jak paroksyzm przechodzi, to każdy tak mówi... I ten człowiek, co wczoraj umarł w szpitalu, zupełnie to samo mówił.

OLEŚ. — Ale ja tylko udawałem, ażeby ich postraszyć!

FELCZER. — Niech pan każe przynieść żelazo, w kuchni włożyłem je w ogień, aby było gotowe, tam są i sznury także... Tu czasu tracić nie można.

P. MINOWSKI. (*smutnie*). Wiem o tym.. Antoni!... przynieś prędzej żelazo i sznury... potrzeba będzie na krześle go przywiązać...

OLEŚ. (*z płaczem*). — Ależ na miłość Boską, wujaszku! ja udawałem!.. Mnie żaden pies nie ukąsił!... jak mamę kocham!

FELCZER. — Niech pan nie słucha, jak paroksyzm mija, to każdemu się zdaje, że jest zdrow,... że nawet i psa żadnego nie widział... ale prędko drugi paroksyzm jeszcze straszniejszy przychodzi... i tego biednego panicza zapewne trza będzie wziąć na łańcuch, jak tamtego, co umarł wczoraj...

OLEŚ. (*padając na kolana przed panem Mia-*

nowskim). — Zmiłuj się wujaszku!... on mnie zamęczy!... ja kłamałem!... jak mamę kocham, kłamałem!... to wszystko nieprawda!... niech inne dzieci powiedzą... niech pan Drygalski powie!... on ani na chwilę nie wierzył!... (*Pod koniec tej sceny we wszystkich drzwiach ukazywały się główki dzieci przysłuchujących się*).

P. MINOWSKI. — Chodźcie tu wszyscy na świadków i opowiedźcie, jak było...

SCENA XVI.

Ciż sami, WYSTKIE DZIECI I PAN

DRYGALSKI.

P. MINOWSKI. Ty, Kaziu, jako najstarszy, odpowiadaj: co mówił Oleś, kiedy przybiegł?

KAZIO. — Mówił, że go pies wściekły pokąsał.

FELCZER. — A co?... widzi pan... a po przejściu paroksyzmu zapomina się o tym... ten biedny chory, co umarł wczoraj...

OLEŚ. (*przerzuwając*). — Ach! jak ten czło-
wiek mnie męczy!

P. MINOWSKI. (*do Kazia*). — Cóż dalej?

KAZIO. — Surducik miał rozdarty i rękę skrwawioną...

OLEŚ. (*gwałtownie*). — Nieprawda!... to mój stary surducik, dawno był rozdarty,... unysł-
nie go wziąłem, a rękę powalałem sokiem, ażeby lepij was oszukać!

FELCZER. — Niech pan nie zważa... w tém prawdy niema.

KAZIO. — Ciągle chciał coś gryźć, nawet pogryzł poręcz u fotela.

FELCZER. — A co?

KAZIO. — Wodę od siebie odtrącał i aż w kącie uciekł przed nią.

FELCZER. — To przekonywające!... niema co zwlekać... czemu ten Antoni żelaza nie przynosi!...

OLEŚ. (*biegnie do stołu, chwytając karafkę z wodą i pije*). — A co?... widzicie, że się wody nie boję!

P. MINOWSKI. (*do Felczera*). — Co pan mówisz na to?... może chwilowe polepszenie tylko?

FELCZER. — Ale chwilowe... chwilowe... czy to ja nie znam się na tém.. Niema co czasu tracić... Panicza związać, ranę wypalić,... i zawieść do szpitala.

OLEŚ. (*padając na kolana przed P. Minowskim*). — Ach, zmiłuj się, wujaszku!

MARYNIA. (*całując ojca w rękę*). — Ojczulku! nie męcz go tak długo!

P. MINOWSKI. (*surowo*). — A on?... czy pomyślał, że jego figle, a szczególnie kłamstwa, męczą innych i nie jednego zmartwić mogą?... Dziś to już czwarte kłamstwo twoje, a każde komuś przykrość sprawiło!... Co teraz czynisz na żart, wejdzie w nałóg i staniesz się nieuczciwym człowiekiem... Kłamstwo jest wielką wadą i do wielu występków prowadzi... staje się powoli jakby drugą naturą i pogardę uczciwych ludzi ściąga... A pamiętaj przytém, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada,... chciałeś zabawić się ich kosztem i postraszyć, a sam nabawiłeś się strachu nie mało i tylko co nie powędrowałeś do szpitala z tym oto felezerem; a jest to nie kto inny, tylko mój stangret Józef, przezemnie nauczony, i który lepiej rolę swą grał od ciebie. (*wszyscy się śmieją prócz Olesia*).

OLEŚ. (*całując w rękę Pana Minowskiego*). — Przebac mi ten raz ostatni, kochany wujaszku, nigdy już, nigdy w życiu nie skłamię. (*Zwracając się do dzieci*). I wy mi darujecie... już więcej takich niemądrych figlów wymyślać nie będę...

KAZIO. — My się nie gniewamy, ale odzwyczaj się od kłamstwa, jeśli chcesz być przyjacielem naszym.

DRYGALSKI. — No, dosyć tego!... wracajmy do lekcji, mamy tylko mały kwadransik czasu... Do szeregu, robaczki, do szeregu!.. Ogólna pirueta... raz, dwa, trzy!... (*wszystkie dzieci śmiejąc się robią piruetę, kurtyna zapada*).

KONIEC.

CZYTANIA WIECZORNE w domowym kółku.

Liczne grono rodzinne zgromadziło się w bawialni państwa Kańskich; ogień palił się na kominie, stół niedaleko stojący okrywały książki, papier, ołówki, robótki kobiece, bo u p. Kańskich nikt próżnować nie lubił. Koło stołu zasiedli o wieczornej godzinie

nie sami państwo i czworo dzieci: dwóch chłopaków i dwie dziewczeczki; młodsza Józia miała lat jedenaście, najstarsza Halka szesnaście, a chłopaki były to bliźnięta. To też trudno było rozróżnić Kazia od Stasia; oba bruneci, oba silni lecz smukli, oba weseli i żywi, lecz pilni i uważni, oba dwunastoletni; ale szczęściem Kazio miał czarne, Staś szafirowe oczy; korzystając z tej wskazówki przyrody, Kaziowi dawano czarną, Stasiowi szafirową krawatkę i po tem zdaleka ich poznawano.

Pierwszy listopadowy wieczór zgromadził rodzinę u płonącego kominka. Dotąd dzieci wróciwszy ze szkół* odbywały dalsze przechadzki, a wieczorem uczyły się lekcji na dzień następny; dziś deszcz leje jak z wiadra, lekcji nauczono się wcześniej, a wieczór razem spędzić postanowiono.

Gdy każde dziecko, na słotę narzekając, czemś się zajęło, rzekł p. Kański:

— Podobno codzienną tę godzinę razem spędzać będziemy mogli, mam przeto zamiar co wieczór wam coś przeczytać, a potem pogawędzimy o rzeczy przeczytanej. Czy zgoda?

— Zgoda, zgoda—zawołały dzieci—ale co czytać będziemy?

— Będę wybierał krótkie utwory wierszem, czy prozą, abyśmy co wieczór czytanie kończyli. Tym sposobem, jeżeli które z was dla nauki opuści jedno czytanie, nie przeszkodzi mu to do zrozumienia następnego.

I to rzekłszy, otworzył p. Kański jedną z książek leżących na stole i przeczytał wśród wzorowej ciszy, co następuje:

Zając i niedźwiedź,

przez Fr. Morawskiego.

Nie tylko ludzi łączy zapach święty,

I między zwierzęty,

Bywa przyjaźń gorąca.

Dziwnym trafem niedźwiedź bury,

Nadzwyczaj czuły z natury,

Tak się przywiązał mocno do zająca,

Zając do niego nawzajem,

Że ich przyjaźni nazywano wzorem:

Był to Pollux z Kastorem.

Cóż, kiedy Pollux strasznym był ma-

[zgaJam,

Ileć z swoim zapachem wyjedzie,

Ileć swoje uczucia niedźwiedzie,

W zajęcze serce chciał przelewać tklowie,
Zawsze go osapał,
Odrapał,

Zawsze nasz zajęć skrzeczał przeraźliwie.

Lecz nie tu koniec jego smutnej doli,

Bo gdy raz w cieniu topoli

O wspólnym rozmawiali losie,

A o marnościach świata rozmyślając,

Zdrzemnął się zajęć,

I mucha siadła mu na nosie—

Niedźwiedź każdej pory

Do przysługi skory,

Nagle się porywa;

Strasliwie zaczął się dąsać:

—Tak mi mojego przyjaciela kąsać!

Oj, czekaj, gadzino złośliwa,

Nie wiesz czem to pachnie—

Jak się osadzi, jak machnie,

Tak ją dobrze zagrabił,

Że razem muchę i zajęcia zabił.

Skończył i uśmiechnął się ojciec, ujrzawszy Józię, która robotę wprawdzie trzymała w ręku, ale usta otworzyła, oczy wypatrzyła na ojca i zdawała się chwytać wymawiane przez niego wyrazy.

— Czegóż, Józiu, tak na mnie patrzysz? wiesz, co ja przeczytałem?

— Ojciec przeczytał bajkę o zajęcu i niedźwiedziu.

— Wybornie; a cóż tam autor opowiada?

— Opowiada o niezgrabnym niedźwiedziu, który chcąc odpędzić muchę, dokuczającą jego przyjacielowi, zajęcowi, zabił zajęcia.

— Tak, tu mowa o niedźwiedziu i zajęcu, przerwał Kazio,—ale autor nie ich ma na myśli, lecz ludzi i ludziom chce dać naukę.

— A jaką, mój pilny studencie? zapytał ojciec.

— Oto wyraźnie—wtrącił Staś,—ostrzeżę on, aby byle z kim się nie przyjaźnić. Dziękuję za takiego przyjaciela, jak ten niedźwiedź, bo to niedosyc, że niezgrabny, ale i niemądry.

— A jakichże to należy wybierać przyjaciół? zagadnął p. Kański.

— Rozumnych i poczciwych—odparła Halka,—ale i równych sobie, bo ileż to razy ten biedny zajęć pisał wśród pieszczot niedźwiedzia. Jasny jest zamiar autora połączenia nauki z zabawą.

— Ale dla czegoż nam autor nie opowiada o dwóch, dajmy na to, chłopakach, nierównej siły i różnych usposobień, przyjaźniących się z sobą, ale tylko o niedźwiedziu i zajęcu? zagadnął ojciec.

— Bo chłopcy tacy byliby niemili,—podchwycił Kazio,—nieprzyjemnie byłoby o nich czytać, a o niedźwiedziu i zajęcu to bardzo zabawne.

— Tak jak Józia powiedziała,—dorzucił ojciec—przeczytałem bajkę, to jest opowiadanie zdarzenia, wymyślonego w celu dania nam nauki moralnej. W bajce nie zawsze ludzie działają, czasem zwierzęta; a nawet te bajki zwykle zabawniejsze, byle każdemu zwierzęciu dać charakter jemu właściwy, a przecie jakąś wadę lub zaletę ludzką przypominający: a więc lis niech będzie chytry, lew wspinały, jagnię łagodne. Jeżeli bajka dobrze napisana, to nauki w niej zawartej każdy się domyśli, tak jak wy jej tu domyśliliście się, a jednak autor ją nieraz przy końcu w osobnych wierszach wyraża. Tu np. Morawski tak kończy swoje bajkę:

Każdy, kto w przyjaźń nierozważną
[wchodzi,

Nudy i biedę pewno sobie kupi;

Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,

Niżli przyjaciel serdeczny a głupi.

Ale kiedy was to czytanie tak zajęło, przeczytam drugą bajkę Aleksandra Fredry, w której ludzie występują, a która przecie i głęboką myśl zawiera i bardzo czytającego bawi:

Wolność Tomku w swoim domku.

Paweł i Gawęł w jednym stali domu,

Paweł na górze, a Gawęł na dole;

Paweł spokojny, nie wadził nikomu,

Gawęł najdziksze wymyślał swawole.

Ciągle polował po swoim pokoju:

To pies, to zajęć—między stoły, stołki

Gonił, uciekał, wywracał koziołki,

Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.

Znosił to Paweł, nareszcie nie może;

Schodzi do Gawęła i prosi w pokorze:

Zmiłuj się waćpan, poluj ciszej nieco,

Bo mi na górze szyby z okien lecą.

A na to Gawęł: Wolność Tomku

W swoim domku.

Cóż było mówić? Paweł ani pisał,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chra-

[pie,

A tu z powaly coś mu na nos kapie.
Zerwał się z łóżka i pędzi na górę:
Stuk! puk! zamknęto. Spogląda przez

[dziurę,

I widzi—cóż tam? cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.

— Co waćpan robisz?—Ryby sobie ło-

[wię,

— Ależ mospanie, mnie kapie po głowie.

A Paweł na to. *Wolność Tomku*

W swoim domku.

Z téj powiastki morał w tym sposobie:
Jak ty komu, tak on tobie.

Temu czytaniu towarzyszyły ciche, tłumio-
ne śmiechy, a wybuchły one, gdy ojciec czy-
tać przestał. Po chwili ucichła głośnie weso-
łość, a Staś rzekł:—Tu ludzie działają, a
przecie ta bajka zdaje się jeszcze od tamtej
zabawniejsza i jest w niej nauka.

— A jaka?—zapytał ojciec.

— Żeby sobie wzajemnie nie dokuczać—
podchwyciła Józia.

— Nietylko to—dodała Halka, wszak Ga-
weł nie chce dokuczyć Gawłowi, on hałas
wyprawia, bo mu się takie zabawy głośne po-
dobają; on z początku nie wie nawet może,
kto nad nim mieszka. A więc ztąd nauka: że
nawet we własnym domku nie wszystko ci
wolno Tomku; wolno nam robić wszystko, co
się nam podoba, jeżeli to naszym bliźnim
przykrości nie sprawia. Dzieciom np. wolno
się bawić, byle ich zabawy przykreści nie by-
ły rodzicom i starszym; mogą więc hałaso-
wać, gdy rodzice zdrowi i nie pracują, muszą
być cichsze w przeciwnym razie.

— Mądry był ten, kto pierwszy bajkę na-
pisał—zauważył Kazio, morał suchy nudny
jest bardzo, a bajek nigdy naczać się nie
można.

— A któż to pierwszy bajkę napisał? za-
pytała ciekawie Józia.

— Pierwsze bajki—odparł ojciec—pocho-
dzą ze Wschodu, prawdopodobnie z Indyi.
Indusy wierzą w to, że zwierzęta mają dusze
do ludzkich podobne, albo że dusze ludzi za
pokutę żyją w różnych zwierzętach; wpadli

na myśl przypisywania zwierzętom pojęć, u-
czuć, słów i czynów ludzkich.

W Grecyi pierwszy Ezop zaczął opowiadać
bajki. Był on rodem z Frygyi, żył w pierw-
szej połowie VI-go w. przed Chr., jako nie-
wolnik u mieszkańca wyspy Samos, nazwi-
skiem Jadmona. Ten wzruszony jego rozu-
mem i zacnem postępowaniem, darował mu
wolność; wdzięczny Ezop pozostał w jego
domu, ale częste odbywał podróże; musiał
też zwiedzić Wschód, tam się bajek nasłu-
chał, a wróciwszy i te powtarzał i nowe two-
rzył. Ale dosyć na dzisiaj, a jutro, jeśli zech-
cecie, przeczytamy coś nowego.

Dzieci wstały od stołu i w jednej chwili
postanowiły w sali jadalnej dać przedstawi-
nie Pawła i Gawła.

Anastazyja Dzieduszycka.

PRZYGODY MŁODEGO PODRÓŻNIKA W TATRACH.

z dziennika Kazia przepisała

M. J. Zaleska.

(Ciąg dalszy).

Cóż to za przyjemna była węgluga! wylá-
dowaliśmy na wysepkę, górale rozpalili stos su-
chych gałązek, ugotowali wody na herbatę,
rozpakowaliśmy zapasy, każdy miał z sobą
rozmaite przysmaki, z których się złożyła
przewyborna uczta. Uczestowaliśmy także i
górali, a napatrzwszy się na wspaniałe wi-
doki, zaczęliśmy myśleć o powrocie, ażeby
nas noc w drodze nie zaskoczyła. Szczęściem
pogoda nam dopisała, chmurki, co prawda,
uwijały się na niebie, ale gdzieś bardzo wy-
soko, i nie czepiały się szczytów, co jak utrzy-
mują górale, zapowiada deszcz. Ślimak miał
z sobą pistolet i strzelił kilka razy w powie-
trze, żeby nam pokazać, jak tu się pięknie
echo rozchodzi i odbija w skałach. Najpierw
wystrzał, odbity od najbliższych turni, powta-
rza się nakształt gromu, potem huk poraz
drugi wybucha słabiej nieco, objając się o
dalsze skały, i jeszcze kilka razy, to głośniej,
to znów ciszej się odzywa.

Żal mi było ztąd odchodzić, nie obejrawszy innych stawów Gąsienicowych, ale mam nadzieję obaczyć je wkrótce, jak pójdę z ojcem i kilku innymi panami do Morskiego Oka przez Zawrat. Szkoda, że mama i Jadwisia nie będą mogły pójść z nami, bo ta przeprawa jest nadto męcząca dla kobiet, ale one tego samego dnia pójdą inną, wygodniejszą drogą do Morskiego Oka, żebyśmy się mogli tam spotkać. Ojciec wyczytał w swoim przewodniku, że Morskie Oko jest jeszcze piękniejsze od Czarnego Stawu, chociaż zdawałoby się, że już nic piękniejszego być nie może. Zobaczymy.

IX.

Znowu dziś z rana deszcz padał i nie można było myśleć o żadnej dalszej wycieczce, ale po obiedzie się wypogodziło i wybraliśmy się na Gubałówkę, bo ksiądz proboszcz, któregośmy spotkali powracając z restauracyi, żartował z nas, że znamy już dalsze okolice, Czarny Staw, Kościeliską, Mało-Ląkę, a dotąd nie zwiedziliśmy Gubałówki, chociaż ją mamy tuż pod bokiem, o kilka kroków. Kilka kroków, tak to się mówi, ale żeby kto chciał naprawdę policzyć, pokazałoby się trochę więcej, bo to jednak dobry kawał drogi i do tego ciągle pod górę. Żeby u nas pod Warszawą była taka Gubałówka, wszyscy nazywaliby ją ogromną górą, ale tu, w porównaniu do Gewontu, jest to sobie niewielkie wzgórze, garb, jak powiada pan profesor X., który poszedł z nami i zabrał z sobą lunetę, bo widok ztąd bardzo piękny, z jednej strony na Tatry, a z drugiej na oddalone Bieskidy. Patrząc przez lunetę, obaczyłem na Gewoncie dwóch ludzi; wyglądali zupełnie jak muchy; stali sobie w samej szczyrbie, potem zaczęli się wdrapywać na wierchołek. Był to zapewne jakiś podróżny z przewodnikiem; i my tam z ojcem pójdziemy, a i Jadwisia koniecznie chce iść z nami, bo się dowiedziała, że na Gewoncie mnóstwo pięknych i osobliwych kwiatów rośnie.

Tatry naprawdę wspaniale wyglądają z tej Gubałówki; łatwo rozpoznać każdą turnię, każdy regel, a nawet wszystkie doliny i przełścia; w dole znów widać jak na dłoni całe Zakopane i inne dalsze wioski. Jadwisi najle-

piej się podobał widok na Bieskidy i prawda, że bardzo ładnie i dziwnie się wydają, zupełnie, jakby jakaś siną mgłą zasnute, bo to ztąd niezmiernie daleko. Usiedliśmy na odpoczynek pod krzyżem, który tu wystawił dr. Chałubiński z Warszawy. Poczciwi górale tutejsi wielbią i kochają niezmiernie pana Chałubińskiego, bo też jest on dobroczyńcą ich prawdziwym; przed kilku laty, kiedy tu panowała okropna cholera, ratował ich z największą gorliwością i poświęceniem, a i teraz co rok, spędzając w Zakopanem parę miesięcy letnich, wiele robi dobrego. Musi to jednak być bardzo przyjemnie zasłużyć sobie na taką wdzięczność i miłość ludu. Jest to dzień uroczysty dla Zakopanego, kiedy pan Chałubiński przyjeżdża z rodziną z Warszawy. Górale stawiają na drodze rodzaj tryumfalnej bramy z zielonej choiny, kto żyw wybiega na spotkanie ukochanego gościa, młodzież na koniach przeprowadza go dobry kawał drogi, strzelając na wiwat z pistoletów i wywijając jaskrawemi chustkami w powietrzu; dziewczęta wynoszą bukiety z kwiatów, muzyka tnie od ucha, a moździerze aż do późnego wieczora odzywają się na wszystkich rogach wioski, na znak radości ogólnej.

Siedzieliśmy sobie parę godzin na Gubałówce, popijając mleko, które nam przynieśli juhasi, pasący trzody na pochyłości wzgórze i rozmawialiśmy o rozmaitych ciekawych rzeczach. Jadwisia zbierała kwiaty z panną Waleryą i ja im także pomagałem. Znaleźliśmy mnóstwo strzępiastych goździków, bardzo pięknych i pachnących, i ładne kwiatki fiołkowe, których ja już nazwać nie umiałem, ale Jadwisia jak zaczęła się przypatrywać pręcikom, płatkom i szukać w swoich kluczach, bardzo prędko doszła, że to goryczka, po łacinie *Gentiana*, zaraz też zaczęły z panną Waleryą rozprawiać o goryczkach, a trzeba wiedzieć, że to są prawdziwe górskie rośliny; ta jednak, którąśmy tu znaleźli, jest goryczką najpospolitszą, nazywa się łąkową i czasem nawet i u nas na suchych miejscach się pojawia. Mała Ewelka zapytała się, czy goryczka jest gorzka, że się tak nazywa; ja się z tego śmiać chciałem, ale panna Walerya powiedziała, że goryczki rzeczywiście mają korzeń gorzki i niektóre gatunki używane są jako

lekarstwo. Szczególnie skuteczna ma być goryczka żółta, która tylko na wysokich górach rośnie; znajdziemy ją z pewnością, jak pojedziemy na Gewont.

Ułożywszy kwiaty, zaczęliśmy się znów wpatrywać w góry, a widok to tak piękny, i okazały, że się nań trudno dość napatrzeć. Jadwisia zaczęła sobie przypominać różne rzeczy, które czytała w swoich uczonych książkach o początku i powstawaniu gór, a mała Ewelka, słysząc to, aż w ręce klasnęła z podziwienia, wołając:

działo w czasach niezmiernie dawnych, chociaż nikt tego na własne oczy nie widział.

— Panie profesorze, powiedziała Jadwisia proszącym głosem; żeby też pan nam opowiedział, jak to się góry tworzyły; ja o tem czytałam nieraz, ale co prawda, nie mogłam dobrze zrozumieć, bo w każdej książce było trochę inaczej.

— Otóż to bieda, odrzekł profesor z uśmiechem, że i ja może znów inaczej zaczęłam opowiadać, bo chociaż uczeni wiele rzeczy odgadli i wiedzą je już na pewno, są jednak



Jazda w bród.

— Jakto! te ogromne góry nie zawsze tu były w Zakopanem? ale zkądże się one wzięły? czy to kto pamięta, czy opowiadał kto Jadwini, jak to było?

— Nikt tego pamiętać nie może, odpowiedziała moja siostrzyczka, bo kiedy się to działo, jeszcze nie było ludzi na świecie.

— O, mój Boże, mówiła Ewelka, więc to przed potopem, a nawet przed stworzeniem Adama i Ewy te góry wyskoczyły z ziemi? Ale któż to wiedzieć może, kiedy jeszcze ludzi wtenczas nie było?

— Na wszystko są sposoby, odezwał się z uśmiechem pan profesor; oglądając skały i rozkopując ziemię, można się domysleć co się

inne, o których rozmaicie sądzą i nie zupełnie się z sobą zgadzają. Do niedawna jeszcze wyobrażano sobie, że góry nagle wychodziły z ziemi, w skutek wewnętrznych wybuchów.

— A więc to inaczej było! przerwała Ewelka; szkoda, ja właśnie sobie myślałam, jak to musiało być ładnie, kiedy te Tatry raptem wyskoczyły do góry, jedna turnia za drugą, a potem te mniejsze regle; tak żałowałam, że mnie tu wtenczas nie było.

— I ja także żałuję, że panna Ewelka darmo sobie ten piękny widok wyobrażała, bo w rzeczywistości musiało się to odbywać innym sposobem. Najpierw trzeba wiedzieć,

że te turnie, takie śpiczaste, połamane, później dopiero przybrały te dziwaczne kształty, które i dziś nawet ciągle się powoli zmieniają. Woda spływając po skałach podmywa je i kruszy, powietrze nawet je nadwiera, bo najtwardsza opoka mięknie i wietrzeje przy zetknięciu się z powietrzem, chociaż bardzo nieznacznie, więc nikt tego naturalnie spostrzedz nie może. Nieulega wątpliwości, że cały łańcuch tych gór musiał kiedyś wyglądać nakształt olbrzymiego, jednostajnego wału, nim wpływy wody, powietrza i najrozmaitsze wstrząśnienia, powyszczerbiały go i pogruchowały tak, że dziś stał się podobny do jakiegoś rumowiska.

A teraz zachodzi pytanie, jakim sposobem powstał ten wał na powierzchni ziemi, a raczej na jej skorupie, bo według zdania wszystkich prawie uczonych ziemia jest we środku wypełniona płynną rozpaloną masą, a tylko z wierzchu ma powłokę twardą, jak skórka pomarańczy. Dawniej kiedyś ta skórka była daleko cieńsza, a kiedy ziemia zastygła powoli i ściągała się, więc twarda powłoka zaczęła się marszczyć a ztąd na ziemi powstały nierówności, góry i doliny. Wtenczas

gromadziła się w zagłębieniach, a wyższe miejsca wysychały i tworzyły łąd. Pewien u-



Trudne przejście na Gerlachu.

czony, chcąc się przekonać, czy to wszystko mogło się tak odbywać w rzeczywistości,

urządził małą kulę kauczukową, wypełnioną powietrzem, potem z wierzchu na niej rozciągnął powłokę z masy, naśladującej skorupę ziemi. Kula była tak urządzona, że powietrze z niej wychodziło powoli, a tem samém musiała się ściągać po trochu. Otoż, gdy to nastąpiło, powłoka z masy zaczęła się zaraz marszczyć, fałdować i na tej małej kulce powtórzyły się zupełnie podobne góry i doliny, jak na naszej ziemi. Nie obeszło się zapewne bez tego, żeby skorupa ziemi, marszcząc się i ściągając, nie popełniała gdzieniedzie, a wtenczas przez szczeliny wydobywała się masa rozpalona z wnętrza i nowe ztąd powstawały nierówności. Toż i dziś jeszcze w wielu krajach buchają wulkany i wylewają potoki lawy. Uczeni doskonale umieją odróżnić, jakie rodzaje skał powstawały w wodzie i potem wysychały, a jakie znów zastygały z rozpalonej wulkanicznej masy. Tu naprzykład widzimy, że część łańcucha Tatrów, aż do Swinnicy, składa się głównie z wapienia; możemy więc śmiało wnosić, że wszystkie te skały musiały być kiedyś w wodzie zanurzone, bo wapien, który ma w sobie mnóstwo szczątków muszel i innych wodnych stworzeń, nie mógł inaczej powstać, tylko wyrzając się z wody. Granit zupełnie inaczej wygląda i do niedawna jeszcze wszyscy uczeni sądzili, że to jest skała wulkaniczna; ale się pokazało, że w ziarnkach kamiennych, z których się granit składa, zamknięte są gdzieniedzie drobniuteńkie kropelki wody; w żadnej zaś masie rozpalonej, tak jak lawa wulkanów, woda utrzymałaby się nie mogła, bo natychmiast zamieniłaby się w parę i ulotniła.

Kiedy to mówił profesor, ja przypomniałem sobie, że miałem kawałek granitu w swoim zbiorze kamieni, zaraz też zawołałem, że muszę w nim poszukać owych kropelek wody; ale profesor roześmiał się ze mnie i wytłumaczył nam, że nikt gołém okiem dojrzeć tej wody nie potrafi; trzeba do tego dobrego mikroskopu, a kamień znowu musi być bardzo sztucznym sposobem rozkrajany na cieniuteńkie, przezroczyste zupełnie blaszki i dopiero w tych blaszkach mikroskop wykrywa różne rzeczy ciekawe. Bylibyśmy słuchali i słuchali, a profesorowi nie zabrakłoby pewnie zajmujących przedmiotów do opowiadania, ale za-

czynało się zmierzchać, musieliśmy wracać do domu. Jeżeli jutro nie będzie deszczu, wyruszamy raniutko do Morskiego Oka. Babia góra bardzo grzecznie się zachowuje, nie włożyła dziś swego brzydkiego czepeca, pewnie więc pójdziemy.

XI.

Widziałem Zawrat! widziałem Morskie Oko! wszyscy mówią, że już nie piękniejszego niema w Tatrach; ja myślę, że i na całym świecie nie wiele musi być piękniejszych rzeczy. Zmokliśmy, co prawda, porządnie, ale cóż to szkodzi? osuszyliśmy się bardzo prędko, a nikt się nie zakatarzył, bo tu w tych górach kochanych niema kataru. Jak zwykle na większą wycieczkę, wybraliśmy się raniutkenko i wsiadłszy na wózki, dla zaoszczędzenia nóg, przejechaliśmy część drogi; w jednym miejscu musieliśmy się w bród przeprawiać przez wodę. Zaraz za pierwszą hutą kuźnic zakopiańskich, wózki wiozące mamę z Jadwisią i kilku innymi paniami, skrzyliły w bok, bo one miały pójść inną wygodniejszą drogą, przez polanę Waksundzką, my zaś, mężczyźni, puściliśmy się prosto, w stronę Boczania, tak zupełnie jak do Czarnego Stawu. Było nas sześciu; my dwaj z ojcem, dwóch młodych ludzi ze szkół krakowskich i dwóch profesorów, którzy wyglądali raczej na naszych kolegów, niż na ludzi uczonych, tak wesoło razem z nami swawolili i figlowali przez całą drogę. Mieliśmy z sobą sześciu górali, trzech do niesienia rzeczy i trzech przewodników. Na czele naszej gromadki stanął Szymek Tatar, jeden z najslawniejszych tatrzańskich przewodników. Spojrzawszy na niego, zdawało mi się, że już go przedtem gdzieś widziałem, zacząłem więc sobie przypominać i raptem przyszedł mi na myśl piękny obraz malarza Eliasza, który był na wystawie warszawskiej. Ten obraz przedstawia dwóch podróżnych i górala na szczycie tatrzańskim. Otóż ten góral, to jest portret Tatara, taki podobniuteńki, że go od razu poznałem. Drugi z naszych przewodników, Wojtek Roj, jest to ten sam, który dostał się najpierwszy na szczyt Gerlachu i wprowadził tam księdza Stolarczyka; gdy zmierzono wysokość Gerlachu, przekonano się, że jest wyższy od Łomnicy, jest więc

najwyższym szczytem z całego łańcucha Tatrów. Ten Raj zawsze wesół i rozmowny. Opowiadał też nam po drodze mnóstwo ciekawych szczegółów o wycieczkach swoich na Gerlach; jakto tam nieraz trzeba się przedzierać przez wązkie szczeliny w skałach, stąpać śmiało ponad okropnemi przepaściami, trzymając się tylko ostrych krawędzi głazów. Wielki też na to siły i odwagi potrzeba, żeby się dostać aż na sam wierzchołek, z kądem widok ma być nadzwyczaj rozległy i piękny. W tym roku ojciec mnie nie puści jeszcze na tę wycieczkę, ale za parę lat, jeżeli przyjedziemy tu znowu w Tatry, muszę koniecznie pójść na Gerlach i już zawczasu zamówiłem sobie Roja, żeby mnie zaprowadził. Tymczasem, na terazniejszą wycieczkę, my dwaj z ojcem mieliśmy wyłącznie dla siebie pocziwego Slimaka, który jest niemniej zręczny od tych, chociaż nie tak sławny; panie szczególnie niezmiernie go lubią, bo jest usłużny i doskonale je prowadzić umie po najgorszych przejściach.

Idąc do Morskiego Oka przez Zawrat, przechodzi się obok Czarnego Stawu; przebywaliśmy więc znowu tę samą drogę, którą już raz opisałem, przez Boczań, halę Królową, wypoczywaliśmy przy szafasach Gąsienicowych, potem obeszlśmy Staw Czarny i zaczęliśmy się wspinać po złomach granitu na taras trawą porosły. Przewodnicy nam powiedzieli, że jesteśmy dopiero na pierwszym piętrze naszej drogi, a dwa następne będą już trochę trudniejsze do przebycia. Ale my wcale nie obawialiśmy się trudności, nawet ojciec tak się ożywił w wesołym towarzystwie panów profesorów, że nam wybornie placu dotrzymywał. Zaczęliśmy się więc piąć na drugie piętro, po stromiej, urwistej drodze, aż znów zatrzymaliśmy się na owej skale trawą porosłej, a Tatar, wskazując ręką w dół, powiedział:

— Zmarzły Staw. I obaczyliśmy w głębi, wśród, dzikich skał, niewielkie jezioro prawie całkowicie pokryte lodem i śniegiem, tak że pośrodku tylko świecił okrąg przejrzystej wody. Wszystko tu dokoła wygląda dziwnie ponuro. Na ciemnych granitowych skałach rażąco odbijają szerokie płaty śniegu, ostre turnie w groźny szereg ściśnięte, sterczą ze

wszystkich stron, jakby mury jakiejś straszliwej fortecy, nawet nieba dojrzeć trudno, bo zewsząd widok zasłaniają skały dzikie, poszarpane.

— Gdzież my tu dalej pójdziemy? zapytał ojciec, ja tu żadnej drogi nie widzę.

I rzeczywiście nigdzie nie można było dostrzec podobnego do przejścia lub jakiegokolwiek ścieżyny.

— Już my w tém, żeby się droga znalazła, odezwał się Tatar, a Raj dodał z wesołym uśmiechem:—Ino niech się nie boją; my tu już dużo panów prowadzili bez żadnego wypadku, i ich da Bóg wyprowadzimy.

Mówiąc to, skinął na Tatara i obaj poszli żwawo naprzód, a my wszyscy za nimi. Po chwili stanęliśmy u stóp ogromnej, stromej skały; spoglądając w górę, ujrzeliśmy wielki wyłom, jakby szczybę szeroką, a od tej szczyby aż do dołu, gdzieśmy stali w tej chwili, coś naksztalt drogi, ale cóż to za droga!

— A więc to tam pójdziemy? zapytał ojciec, trochę niespokojny; ależ to tak jak na piec wlać.

— Ino niech się nic a nic nie boją, powtórzył Raj; prościutko po tych *piargach* pójdziem aż na górę; tam gdzie skała taka rozłamana, to Zawrat. (d. c. n.)

Pieniądze dobrze użyte.

(Z prawdziwego zdarzenia).

Na ławkach szkolnych, w jednym z wychowawczych rządowych zakładów w Galicyi, siedziały obok siebie w klasie czwartej dwie dziewczynki. Z przyjaznych uśmiechów i z całego ich względem siebie zachowania się, rozpoznać można było, że panienki te kochały się serdecznie. Jedna z nich o ściągłej, mizerniej twarzyczce, czarno i ubogo ubrana, jest córką biednej wdowy, imię jej Anna. Druga, rumiana blondynka, w świeżej i ładnej sukience, jest córką majątnego obywatela. Obiedwie są najlepszymi uczennicami.

Cóż je do siebie zbliżyło i złączyło tak ściśle przyjaźnią?

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, przypatrzmy im się bliżej.

Anna, jak już wspomnieliśmy, była córką biednej wdowy, utrzymującej się z małej po mężu emerytury i pracy rąk własnej. Oprócz Anny były jeszcze drobniejsze dzieci.

Szczupły emerytalny fundusz i szczuplejszy jeszcze zarobek matki nie mogły dostatecznie zaspokoić wszystkich potrzeb rodziny, a trzynastoletnia dziewczynka, jako najstarsza, musiała już na siebie pracować.

Po skończonych lekcjach w zakładzie, dawała młodszemu, mniej zdolnym od siebie uczennicom, korepetycje. Było to ciężkie i bardzo lichy opłacane zajęcie. Młoda pracownica długo musiała składać grosz do grosza, nim uzbierała na tanią sukienkę, lub buciki.

Przytém książki szkolne także dużo kosztowały; nie mogąc kupić wszystkich, niektóre przedmioty do nauki przepisywała z pożyczonych książek.

Wiele to pracy wymagało, i często biedna dziewczynina, wyuczywszy się lekcji na dzień następny, siedziała późno w noc, przepisując to, co zamożniejsze bez żadnego wysiłku znajdowały gotowe w podręcznikach szkolnych. Pomimo tych przeszkód i trudności, była pierwszą w klasie, a wzorowe obyczaje jednaly jej szczerą życzliwość nauczycieli, którzy ją niejednokrotnie za wzór przedstawiali.

Najwięcej pisania miała Anna z historią powszechną, bo książka była droga, a przedmiot ten wypadła trzy razy na tydzień.

Zosia, którą przełożona zakładu, na prośby jej matki, zaraz na początku kursu posadziła przy najpilniejszej uczennicy, uczuła pociąg do myślenia i nad wiek swój roztropnej towarzyszki; wychowana bardzo starannie w domu, umiała poznać się na pięknych zaletach Anny. Dobre jej serce zaczęło rozmyślać nad tem, jakby z drogi biednego dziewczęcia usunąć to, co przeciążało młode jej siły; myśli kupienia Annie potrzebnych książek powstała w jej poczciwej duszy.

Szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił jej niezadługo dobre chęci w czyn zamienić.

W dzień imienin swoich dostała od rodziców 10 złr., i zwierzyła się zaraz matce ze swoim zamiarem, prosząc o pozwolenie. Używała je chętnie. Szlachetna matka, której

pocziwe popędy córki tkliwie wzruszyły serce, nie chciała odkładać dobrego natchnienia Zosi, poszła z nią sama do księgarni i kupiła wskazane książki.

Nazajutrz po południu, we środę, w dzień rekreacji, Anusia siedziała przy stoliku, i właśnie zabierała się do przepisywania historii. Niespodziewane wejście Zosi przerwało jej to zajęcie. Niedomyślając się powodu wejścia swej przyjaciółki, powstała żwawo na jej przywitanie, a Zosia tymczasem w radosnym wzruszeniu rozłożyła już przed nią te książki, których jej właśnie brakowało i w serdecznym uścisku poszepnęła zdumionej dziewczynce parę słów wyjaśniających. Anusia z głębokiego wzruszenia słowa przemówić nie mogła, tylko oczy pełne łez świadczyły, jak bardzo wdzięczną była swej przyjaciółce za jej szlachetną dobroć.

W kilka miesięcy potem, na publicznym egzaminie, sędziwy Kanonik K. wizytator szkół, wywołał do pierwszej nagrody Annę i Zosią, i w te odezwał się słowa:

„Stojące przedemną uczennice, mają wszystkie stopnie celujące, i odznaczyły się nie tylko nadzwyczajną pilnością w naukach, ale i w obyczajach zachowanie się ich było wzorowe.

Wszyscy nauczyciele przysądzili im jednogłośnie pierwsze nagrody, które ja im wręczam.“

Mówiąc to, wziął dwa wieniec z białych róż i włożył je na skronie młodych, szczęściem jaśniejących dziewcząt.

Głos sędziwego kapłana drżał ze wzruszenia, kiedy przemawiał do nich.

„Niech was Bóg tak dalej prowadzi i pomaga do spełnienia waszych obowiązków, ażebyście wyrosły na znaczne dziewice i przypomniały całém waszém późniejszém życiu te cnotliwe polskie niewiasty, które jak jasne gwiazdy świeciły czynami swojemi, wskazując mężom, synom i braciom, drogę do wielkich i wzniosłych spraw.“

I spełniły się słowa starca.

W kilkanaście lat potem Anna była przełożoną jednego z głównych wychowawczych zakładów. Poważana od ogółu, kochana od swych uczennic, umiejętnym kierunkiem i niespracowaną gorliwością postawiła zakład

swój na takiej stopie, że służył za pierwowzór wszystkim innym; dosyć też było powiedzieć o młodej osobie, że jest wychowanką Anny, by jej zjednać przychyłność i zaufanie.

Młode, ubogie dziewczęta, najchętniej garnęła pod swoją opiekę i przychodziła im w pomoc w każdej potrzebie i trudnej chwili. Mając rozległe stosunki z domami zamożnymi, często tam żądała poparcia. Niejedna bogata, artystycznie uzdolniona panna, uproszona, udzielała lekcji śpiewu, lub muzyki takim panienkom, które okazawszy zdolność, nie miały środków, by się wykształcić w talentach. Wpływała z takiego stosunku korzyść dla obu stron. Biedna uczyła się darmo, a bogata miała tygodniowo pożytecznie zapełnionych kilka godzin. Tym sposobem nie w jednym samolubnym sercu wzbudziło się uczucie miłosierdzia i zamilowanie poważniejszej pracy.

Zosia wyszła za mąż za właściciela na wieś, i w swoim zakresie była również szanowaną i cenioną. Jabłonki na kilkanaście mil w okóło słyneły z dobrego rządu i zacnego obywatelskiego życia. Mąż Zofii pomagał jej gorliwie w spełnieniu obowiązków, i wspólnymi siłami wprowadzili u siebie w życie ów patriarchalny, a oddawna zapomniany zwyczaj wspólnej modlitwy z czeladzią. O dziewiątej godzinie wieczór, na odgłos dzwonka, wszyscy domownicy schodzili się do dużej izby, przy kobiecym pokoju położonej; tutaj przed obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela odmawiano głośno wieczorne pacierze, a po ich ukończeniu, pani domu wyjaśniała pokrótce naukę moralną, zastosowaną do okoliczności i spraw dziennych.

Tym sposobem zawiązywał się serdeczny stosunek państwa z czeladzią, a kiedy po innych dworach z każdym Nowym-Rokiem był zamęt i kłopot, który nieraz bardzo dotkliwie dawał się uczuć właścicielom, w Jabłonkach służba nie opuszczała miejsca, owszem dokładała starań, żeby zasłużyć na względy państwa.

Szkółka była także pod szczególną opieką dworu; cnotliwy proboszcz, rozsądny i zdolny nauczyciel, jednocyli wspólnie z dziećmi swe siły.

Z tych szczerych, prawdziwie chrześcian-

skich usiłowań, pokazały się piękne następstwa. Działwa wieśniaków z Jabłonek wyglądała schludniej i porządniej, niż w innych wsiach, młodzież nie rozpijała się po karczmach, a starsi gospodarze odznaczali się statkiem i uczciwością. I nie dziw, każdy z nich znalazł w trudnym wypadku radę, a w niedoli współczucie i pomoc. Była też we dworze biblioteka moralnych i przystępnych książek, tak dla działwy, jak i dla doroslejszych. Sama pani miała ją pod swoim nadzorem.

Czytający składali miesięcznie po kilkanaście centów, z czego tworzył się kapitał na kupno nowych dziełek. Każda pożyczona i oddana książka była zapisaną porządnie, nie też nie ginęło i zbiorek powiększał się z każdym rokiem.

Serdeczne stosunki pomiędzy dwiema przyjaciółkami ściśniają się z każdym rokiem. Jest we dworze Jabłonieckim obszerny pokój, nazwany imieniem Anny, tam po całorocznych mozołach kosztuje wypoczynku pracownica miejska. Dzień jej przybycia jest prawdziwą uroczystością dla serc mieszkańców Jabłonek.

Nam, którzy to piszemy, na wspomnienie chwil z tymi zacnymi ludźmi spędzonych, uczucie nieopisanego błogości przejmujące duszę, a na usta cisną się słowa gorącego życzenia:

Oby jak najwięcej takich rodzin było!

Waleryja Stacherska.

Wiadomości pożyteczne o zachowaniu zdrowia.

I.

Józio i Helenka siedzieli raz sami w salonie. Rodziców w domu nie było, a nauczycielka odeszła na chwilę do swego pokoju, zostawiając im do zabawy papier i kolorowe ołówki. Dzieci bardzo lubiły rysować, szczególnie kolorowymi ołówkami, ale jak to się często dzieciom zdarza, zapominały łatwo o tem, że przy zabawie, tak zupełnie jak przy lekcji, trzeba zawsze siedzieć porządnie, nie garbić się i nie wykrzywiać. I teraz więc, ponieważ nikt na nich nie patrzył i nie ostrze-

gał, Helenka wykręciła się bokiem na krzesło, prawy łokieć oparła z całej siły na stole, a że krzesło było dla niej za niskie, więc podniosła prawą łopatkę do góry, lewe zaś ramię opuściła pod stół. Józio, który był trochę starszy i większy od niej, przysunął sobie krzeselko bliżutkenko do stolika i oparł się na blacie pierściami, przytém wyciągnął szyję i głowę tak schylił, że brodą dotykał prawie papieru. Tak byli oboje zajęci swoją robotą, że nie spostrzegli nawet, jak drzwi się z cicha otworzyły, a głos dobrze znany odezwał się od progu :

— Pięknie się dziatwa sprawa w nieobecności starszych; pięknie, niema co mówić.

Dzieci zerwały się szybko i poskoczyły przywitać się z gościem. Był to doktor, serdeczny przyjaciel ojca, który ich nieraz troskliwie leczył w chorobie i dawał im różne dobre rady, ażeby chorób umieli unikać.

— A cóż to my złego robimy, proszę pana doktora, odezwał się Józio; siedzieliśmy spokojnie i rysowaliśmy sobie, bo skończyliśmy już wszystkie lekcye.

— A ślicznieście siedzieli, widziałem, rzekł doktor; obróćno się Helenko, bo coś mi się zdaje, że ci już garb rósć zaczyna pomiędzy łopatkami.

— Co, co, obruszyła się dziewczynka, jak też pan doktor może tak brzydko żartować. Ja niechęć być garbatą.

— Gdybyś nie chciała być garbatą, moja panienko, to nigdybyś nie siedziała, tak jak przed chwilą, z jednym łokciem na stole, a drugim pod stołem, z łopatką wykrzywioną, bo to jest właśnie najlepszy sposób zarobienia sobie na garb. Czy sądzisz, że ja żartuję? wcale nie. Już nieraz byłem wzywany do takich nierozsądnych dzieci, którym naprawdę garb wyrastać zaczynał, bez żadnej innej przyczyny, tylko dla tego, że nie słuchając napomnień, ile razy nikt na nie niepatrzył, zaraz się wykręcały przy stoliku, tak zupełnie, jak ty przed chwilą. Potém gorzko tego żalowały, ale najczęściej było już za późno i musiały przez całe życie pokutować za nieroztropność i nieposłuszeństwo. A cóż to za boleść dla rodziców, patrzeć na te nieszczęśliwe dzieci, z własnej winy skazane na ciężkie kalectwo. Ja też zawsze daleko więcej nad rodzicami

się litowałem, niż nad temi nierozsądnemi dziećmi.

— Ale ja, proszę pana, nie będę miał garbu, odezwał się Józio; ja nigdy nie siedzę bokiem przy stole, i teraz także doskonale pamiętam, że... tu zająknął się i spuścił głowę zawstydzony, bo kłamać nie umiał, a przypomniał sobie właśnie, że i on nie siedział tak, jak powinien był siedzieć, gdyby na przestrogi rodziców uważał.

— Ty, mój chłopcze, możesz wprawdzie uniknąć garbu, ale za to, jeżeli będziesz często przyciskał klatkę piersiową do twardego stołu, obawiam się bardzo, ażebyś nie dostał jakiej piersiowej choroby. Całe ciało powinno zawsze zachowywać postawę naturalną, swobodną, szczególnie w młodym wieku, kiedy wszystkie członki dopiero się rozwijają i rosną. Ale cóż, jak przyciśniesz piersi do stołu, już ta część ciała nie może się tak swobodnie rozwijać; przytém utrudniasz sobie oddychanie, przeszkadzasz naturalnemu krążeniu krwi i cały organizm musi na tém ucierpieć. Oj, żeby to młodzież mogła wiedzieć, jak się ciężko żałuje tej nieroztropności i lekkomyślności w późniejszym wieku! Ja was tak kocham moje dzieci, takbym rad od was i waszych rodziców wszelkie cierpienia oddalić, uprzedzić każdą chorobę, bo niezawodnie większa część chorób pochodzi z nieostrożności naszej własnej; ale cóż ja poradzę, cóż poradzą biedni rodzice; niepodobna przecież, ażeby dzieci w waszym wieku nieustannie stróżów miały przy sobie.

— O, panie doktorze, rzekła Helenka zasmucona, my przecież nigdy nic złego nie robimy, choć nas nikt nie pilnuje.

— O nie, dodał Józio, my nigdy nic bez pozwolenia nietkniemy, żadnej szkody nie zrobimy.

— Wiém, wiém, moje dzieci, że macie dobre serduszka i najlepsze chęci; ale czyż to niewyrządzacie waszym rodzicom najdotkliwszej szkody, jeśli dobrowolnie się narażacie na chorobę i kalectwo? Oni was przecież więcej kochają od wszystkich, najkosztowniej-szych swoich sprzętów.

— Ale bo my doprawdy niewiedzieliśmy, że to może tak bardzo zaszkodzić, powiedział Józio.

— A teraz będziecie wiedzieli odrzekł, doktor. Tylko nie zapominajcie.

— O nie, nie, nie zapomnimy, wołały dzieci.

Wtem weszli rodzice i przywitawszy się serdecznie z doktorem, zaczęli o różnych rzeczach z nim rozmawiać, ale doktor, nie chcąc ich martwić, nie wspomniał już przy nich o nieroztropności Józia i Helenki, nie wątpił bowiem, że dzieci tą razą przestroż jego nie zapomną i dotrzymają przyrzeczenia.

M. J. Z.

KALENDARZYK.

— W dniu 7-m Marca 966 r. wyszło, według dawnych naszych kronikarzy, obwołanie księcia Mieczysława, znoszące bałwochwalstwo w Król. Pol. Ponieważ, jak mówi kronika, rozkaz niszczenia bałwanów, wyrąbywania gajów poświęconych onym, opieszałe w znakomitych wsiach, miastach i miasteczkach wykonywano, przeto wyznaczył książę dzień 7 Marca, do skutecznego tego powszechnie we wszystkich ziemiach. W naznaczony zatem dzień, w obecności ludu płci obojg, rozcinano bałwany, a kęsami w rzekach i jeziorach utopione, kamieniami przywalono. Ubolewali na to i niezmiernie płakali bałwochwalcy, a osobiwie owi, co z zabobonów korzystali, lecz nie śmieli sprzeciwiać się z bojaźni starostom. Pamiętka tłuczenia i topienia bałwanów trwa dotąd w niektórych wsiach w Król. Pol., albowiem w drugą niedzielę postu nurzają w rzekach postaci Marzanny i Dziewanny zatknięte na długich żerdziach.

A. z Ch. Borkowska.

ROZMAITOSCI.

Otrzymaliśmy list, z którego ustęp dosłowny podajemy naszym czytelnikom, sądząc, że im sprawi taką przyjemność, jak i nam.

„W r. 186* pisze nasz korespondent, byłem nauczycielem w okolicach Grójca, przy ma-

łym Tadeusz S. Chłopezyk był pilny, uczył się dobrze, zasługiwał więc na moją miłość i przywiązanie. A Tadeusz tak mię kochał, że tej miłości zazdrościli mi jego rodzice i babcia. Po przebyciu czasu oznaczonego u pp. S. opuściłem ich dom, a że nie zaraz otrzymałem nowe zajęcie, zmuszony byłem przez parę miesięcy być na bruku w Warszawie. Nie wiem, jakim sposobem pp. S. dowiedzieli się o tem, że byłem bez miejsca, otrzymałem przeto list od nich, z prośbą, żebym do nich uvažał za własny, to jest, żebym przyjechał do nich na czas nieograniczony, a oprócz tego odebrałem liścik od mego byłego ucznia Tadeusza, w którym ze łzami ubolewał nad mojem położeniem i z największą nieśmiałością prosił, żebym przyjął pewną kwotę z jego skarbonki na główne potrzeby. Ma się rozumieć, że nie mogłem być obojętny na listy tak szczere i udałem się do zacnych pp. S. na święta Bożego Narodzenia. Trudno mi jest dziś opisać, jakie było przyjęcie całej rodziny, to tylko pamiętam, że Tadeusz rzucił się w moje objęcia ze łzami szczęścia i że go oderwać było trudno.

Nie wiem, co się dzieje z Tadeuszem, a dziś Tadeuszem, wnoszę tylko, że kto miał tyle serca dla swego nauczyciela, ten nie może być złym, a ta wdzięczność ucznia, jego rodziców i całej rodziny, głęboko się zapisała w mojem sercu.“

My ze swęj strony dodamy tylko do tego listu, że wszystko to pięknie też świadczy i za nauczycielem, który zjednał sobie takie przywiązanie ucznia i jego rodziny. Któż więc, czy pismo nasze, dziwnym zbiegiem okoliczności, nie wpadnie w ręce owego pana Tadeusza, a wówczas przyjemnie mu będzie zapewne wspomnieć te dawne czasy, tak mile zapisane w sercu jego nauczyciela.

Gra towarzyska. Sprzedaż ptaków.

Wybiera się najpierw dwie osoby, z których jedna udaje, że sprzedaje ptaki, druga, że je kupuje; ta ostatnia oddala się na chwilę. Tymczasem każdy z pozostałych, wybiera sobie nazwę jakiegoś ptaszka, a han-

dlarz zaczyna wołać głośno: Ptaszki sprzedają! piękne ptaszki sprzedają! Kupujący powraca z drugiego pokoju i pyta się, czy jest do sprzedania pewny ptaszek, którego wymienienia. Jeżeli nikt sobie takiej nazwy nie wybrał, wszyscy milczą, kupujący inne ptaki wymienienia, aż póki nie natrafi na jednego z obecnych i ten zaraz się odzywa, udając głos ptaka, którego nazwę nosi. Rozpoczyna się targ, a gdy umowa stanie, kupujący musi uderzyć ręką o rękę handlarza tyle razy, ile rubli lub złotych obowiązał się zapłacić. Kupiony ptak tymczasem ucieka i tym więcej ma na to czasu, im dłużej tamten pieniądze liczy. Zaczyna się gonitwa; jeżeli ptak da się pochwycić, zajmuje miejsce kupującego, a ten przyłącza się do ptaków, ale jeśli mu się uda powrócić na swoje miejsce, kupujący musi raz jeszcze próbować szczęścia. W chwili gdy kupujący dobija targu o ptaka, wszyscy chórem zaczynają śpiewać, dając temu hasło do ucieczki:

Leci ptaszek, leci,
Niechce opaść w sieci.

Łamigłówka głoskowa.

Pierwsze siedzi w oknie zamkniętym,
Drugie we drzwiach otwartych wiecznie,
Trzecie, w mieszkaniu najętym,
Czwarte w skałach mieszka bezpiecznie;
W mórz głębi szukaj piątego,
Króskowanego.

Warszawę tak szóste miłuje,
Że aż dwa w niej miejsca zajmuje;
Wszystko—to gród jest prastary,
Miły, choć smutny i szary...

Wiesz o nim dziatwo,
Więc zgadniesz łatwo.

Łamigłówka w kwadraciku.

W kwadraciku złożonym z szesnastu podziałek, ułożyć 2 A, 1 G, 4 Ł, 2 O, 2 R, 4 U,

1 Z, ażeby odczytać w pionowym i poziomym kierunku: 1) Dziśki naród, o którym wiele w ostatnich czasach pisano w gazetach. 2) Rodzaj gruntu. 3) Imię zdrobniałe. 4) Góry.

J. W.

Rozwiązania do N-ru 8-go.

Łamigłówki zgłoskowej:

Paulina Kraków—Tysiąc lat temu.

Łamigłówki głoskowej:

Malina—Kalina—Halina.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Ewelce P. w Podwysokiem. — Łamigłóvkę zamieścimy wkrótce. Dwa pierwsze N-ra „Wieczorów” wysłane. Miło nam bardzo, że je dziewczęta z przyjemnością czytają i dokładamy starań, ażeby coraz więcej miały do czytania zajmujących rzeczy.

P. R. Lubiczowi. — Łamigłówka bardzo dobra, ale prosimy o cierpliwość, bo mamy mnóstwo innych, które muszą być wcześniej zamieszczone.

Bobusiowi, — który tak wybornie odgaduje łamigłówki a takie śliczne nowe układa, dziękujemy bardzo. Kryształową zamieścimy wkrótce.

Janowi W. w Kownie. — Pomysł zagadki bardzo dobry, ale wierszyk za słaby, ażeby mógł być drukowany w naszych „Wieczorach”.

Wandzi Jabł... Liścik tak porządnie napisany wielką nam sprawił przyjemność; ojcu za uprzejmy przypisek dziękujemy.

Jankowi Kw. Łamigłóvkę zamieścimy; prosimy o drugi liścik obszerniejszy.

Bronisiowi. Jaskółka bardzo rada, że się jej wierszyk podobał. Odlecieć jej nie damy, tym bardziej, że się wiosna już zbliża.

Panu A. S. w Kijowie. — Za współczucie i życzliwość serdecznie dziękujemy; dziwi nas to jednak, że pan nie zauważył w prospekcie naszym wyrazów: „budzić zamysłowanie do pracy”.

Do wszystkich. — Otrzymujemy codziennie takie stopy listów z rozwiązaniem łamigłówek, że musimy sobie odmówić przyjemności odpowiadania na każdy z osobna. Zawsze jednak chętnie odpisywać będziemy na liściki, zawierające cośkolwiek więcej, oprócz rozwiązania zagadki.

Treść. — Łabędź (drzeworyt). — Mały Klamca, Komedyjka w jednym akcie, przez Helenę K. (dokończenie). — Czytania wieczorne. Dzieduszyckiej. — Przygody młodego podróżnika w Tatrach, M. J. Zaleskiej (ciąg dalszy), (z 2-ma drzeworytami). — Pieniądze dobrze użyte, Stacherskiej. — Wiadomości pożyteczne o zachowaniu zdrowia, M. J. Z. — Kalendarzyk A. z Ch. Borkowskiej, (ciąg dalszy). — Rozmaitości. — Gra towarzyska. — Łamigłówka i rozwiązania.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Февраля 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście № 415.